

## MODEL POLSKIEGO KAPITALIZMU

prof. d hab. Krzysztof Jasiecki PAN

Tekst został wygłoszony w trakcie **Seminarium naukowego "Polski kapitalizm" organizowane przez Instytut Filozofii, Socjologii i Socjologii Ekonomicznej. Sprawozdanie z dnia 24.06.2014r.**

Proszę Państwa, miło mi przed Państwem występować. Obchodzimy właśnie dwadzieścia pięć lat odzyskania suwerenności Polski i 10 lat obecności w Unii Europejskiej. Z tej okazji organizuje się wiele spotkań przy okazji których warto o pewnych rzeczach mówić w sposób całościowo. Temat mojego wystąpienia brzmi „Model polskiego kapitalizmu”. Dodałem celowo podtytuł, taki jak w mojej najnowszej książce - „Między modernizacją a peryferiami Unii Europejskiej”. Zwraca on uwagę na zasadniczy problem: w jaki sposób kraj, który z przyczyn historycznych w kapitalizm wchodził w sytuacji peryferyjnej, po przejściu przez system komunistyczny, próbuje znowu poprawić swoje położenie w światowej gospodarce.

Zacznę krótko od historii. Na podstawie niektórych interpretacji spotykanych w ciągu ostatnich 25 lat, na przykład idealizujących II Rzeczpospolitą, można odnieść wrażenie, że byliśmy niegdyś państwem wysoko rozwiniętym. Takie przewartościowania mają miejsce z różnych powodów (choćby ideologicznej legitymizacji kapitalizmu przeciwstawianego PRL) i są często bardzo dyskusyjne. Odwołam się do syntetycznego wskaźnika. PKB Polski w 1938 roku, czyli przed samą wojną, wynosiło około 42% PKB zachodnioeuropejskiego. Warto o tym pamiętać, dlatego że później, kiedy wchodziliśmy w transformację, było to około 30% PKB, czyli w okresie PRL-u dokonał się regres, wynikający z tego, że inne gospodarki rozwijały się znacznie szybciej. Tendencję tę ilustruje przykład Niemiec – w 1990 roku 11 razy większy PKB; Hiszpanii, która po II wojnie światowej miała mniej więcej ten poziom co Polska, podobnie jak Grecja, ostatecznie osiągnęła PKB 5 razy większe, a Grecy 3 razy większe. Można więc rozpatrywać te wielkości jako wskaźnik utraconych szans, związany z okresem komunistycznym, chociaż oczywiście, jest to zjawisko bardziej wielowymiarowe. Postaram się jeszcze do tego wrócić.

Dyskutowany problem trzeba bowiem widzieć w jeszcze szerszej perspektywie, nie tylko dyskusji III RP, II RP, PRL itd., ale patrząc na miejsce Polski z punktu widzenia tworzenia kapitalizmu, nowożytnych instytucji politycznych; tak naprawdę to mieliśmy okres wycofania z gry. Nie wchodząc w niuanse chciałbym zauważyć, że gdy niedawno pisałem tekst o bogactwie Polski, przejrzałem materiały historyczne i ze zdziwieniem stwierdziłem, że w Polsce w tym aspekcie było najlepiej na poziomie Mieszka I i jego kontynuatorów. Potem, mimo rozrostu terytorialnego państwa, niestety gospodarczo jedynie w niektórych okresach było lepiej. Trzeba o tym pamiętać, żeby nie zawężać analizy do okresu ostatnich 20 lat, 50 czy nawet 100 lat, bo problem jest taki, że z różnych powodów „od zawsze” byliśmy zmarginalizowani, nie mogliśmy się rozwijać gospodarczo, tak jak byśmy chcieli. To jest problem ograniczeń, słabości lub braku podmiotowości politycznej i gospodarczej, co przekłada się zajmowanie podrzędnego miejsca w globalnym podziale pracy. Nazbyt często kto inny decydował, co robimy i na jakich zasadach. Nie dotyczy to tylko okresu zaborów. Okres PRL-u, przewaga przemysłu ciężkiego, eksport surowców, nisko przetworzone produkty i usługi. Do końca PRL-u struktura eksportu była zbliżona do tej jaką miały bardziej rozwinięte państwa Trzeciego Świata. Taki był punkt wyjścia III RP.

Przechodzę dalej. Odwołam się teraz do kategorii, którą posługiwał się wybitny historyk gospodarki, Witold Kula, mówiąc o koegzystencji asynchronizmów jako o pewnym wyróżniku rozwoju Polski. Polega to na tym, że system ma instytucje, które łączą w sobie cechy różnych ustrojów. To jest mało spójne, np. buduje się kapitalizm, ale on ma instytucje

postkomunistyczne. We wcześniejszych okresach kapitalizmu w Polsce miał on duże komponenty instytucji post-feudalnych. Całe regiony kraju były jakby „z innej bajki”. W literaturze dotyczącej 20-lecia międzywojennego, można przeczytać o tym, jak przyjeżdżali goście z zagranicy, jechali na Polesie i mówili: „Tam ludzie chodzą w łapciach”. Niektóre obszary Polski wyglądały tak, że Bronisław Malinowski nie musiał jeździć do Papui Nowej Gwinei, by znajdować atrakcyjne obszary dla swoich badań społeczności mało dotkniętych przez procesy modernizacji. Nie chcę tego rozwijać, tylko sygnalizuję, że problem współcześnie także nie został rozwiązany. We współczesnej Polsce można wskazać trzy obszary takiego rozwoju asynchronicznego.

Pierwszy – tworzy neoliberalny kapitalizm. Jedni mówią, że to są centra, a inni, że enklawy rozwoju: wielkie miasta, skupiska dużego biznesu, głównie zdominowanego przez kapitał zagraniczny i obudowujące go nasze struktury gospodarcze.

Drugi - układ społeczny, można go nazwać postkomunistycznym w sensie instytucjonalnym: nie chodzi o wartościowania polityczne, to zostawiam z boku. Jest taki termin, który mi się bardzo spodobał: transformacyjna prowizorka. Np. usługi publiczne, odziedziczone z poprzedniego ustroju, edukacja, polityka społeczna, służba zdrowia - w tym sensie odziedziczone, że zaczynają być zmieniane, ale na bazie wcześniej wymyślonych rozwiązań, które nie pasują do nowych warunków. A jeszcze dochodzą do tego problemy finansowe. Nie chcę teraz tego szerzej rozwijać. Może zostawię tę kwestię do dyskusji.

Wreszcie trzecia część - wschodnioeuropejska peryferyjność. To są m.in. tereny po PGR-ach. Całe wsie, gdzie nikt nie ma pracy. Jeśli oglądaliście Państwo film „Arizona”, to on świetnie dokumentuje ten rodzaj stosunków społecznych. Wszyscy na zasiłkach. Jedną decyzją administracyjną rządu, jednym podpisem skasowano ich przyszłość. Nie wchodząc w racje ekonomiczne, społeczne – mocą doktryny ich nie brano pod uwagę. Z tym, który to podpisywał, rozmawiałem i on mi powiedział: „To była wczesna faza transformacji, trzeba było to zrobić, ale wtedy jeszcze nie myśleliśmy o restrukturyzacji rynku pracy, nie było programów osłonowych.” Do tego dojrzelismy później. To są socjalne gospodarstwa rolne. Jak wiadomo 2/3 gospodarstw rolnych w Polsce ma taki charakter. Nierozwojowe. Koegzystencja tego rodzaju asynchronizmów wytwarza znaczące kontrasty i zróżnicowania rozwojowe w kraju w różnych wymiarach życia społecznego.

Wczoraj brałem udział w seminarium w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN w trakcie którego Kazimierz Słomczyński referował wyniki badań programu „Polpan” dotyczące zmian struktury społecznej od PRL-u do dzisiaj. Jego wyniki są dostępne na stronach internetowych Instytutu. Dyskutowaliśmy o postępujących zróżnicowaniach społecznych. O tym, że polska statystyka często takich zjawisk nie odnotowuje. Dlaczego? Podam jeden przykład. Zajmuję się badaniem elit bogactwa (napisałem książkę o nowej polskiej elicie gospodarczej). Zapytałem prezesa GUS-u, jak korzystać w tym zakresie z danych państwowej statystyki. Otrzymałem następującą odpowiedź: „w Polsce Pan tego nie zbada za pomocą moich danych, bo my górnego decyla, tj. 10% najbogatszych Polaków, nie mamy w statystykach”. Pojawia się w takim razie pytanie, ile są warte analizy, które pomijają zagadnienie kumulacji zasobów materialnych na szczytach struktury społecznej, kluczowe dla orzekania o zakresie nierówności społecznych? Ta kwestia przenosi się także na zróżnicowania regionalne. Wystarczy pojechać do pasa województw wschodnich, np. zobaczyć Białą Podlaską, co w porównaniu z Warszawą daje wrażenie przebywania w nieco innej rzeczywistości.

No i wreszcie, jakie to ma konsekwencje w szerszym układzie odniesienia, europejskim? Do opisu naszego położenia w tym zakresie można użyć kategorii *wewnętrzne peryferia Unii Europejskiej*. Niemcy, analizując problemy rozszerzenia Unii na wschód, piszą o nierównej integracji, o integracji bogatych i biednych. To w warunkach instytucjonalnej i finansowej przewagi przekłada się po prostu na symetrię rozwoju. Krótko mówiąc, jest prosty miernik:

kto kupuje i gdzie przedsiębiorstwa. Oni u nas, a nie my u nich. To pokazuje, kto na kogo pracuje, mówiąc językiem ekonomii politycznej. Jaka jest dystrybucja korzyści.

Dalej parę zdań o państwie, dlatego, że transformację od początku przeprowadzało państwo i ono powinno nią zarządzać. Tutaj odwołam się do określeń, które są używane od dawna, np. syndrom miękkiego państwa. Noblista norweski Myrdal stosował ten termin do krajów Trzeciego Świata. Jerzy Hausner z Mirosławą Marody zaproponowali zastosowanie go do Polski. To oznacza, że instytucje formalnie istnieją, ale ich działanie bywa dyskusyjne. Dalej, badacze krajów pozaeuropejskich, porównujący różne kraje wychodzące ze stanu niedorozwoju, tacy jak Atul Kohli, mówią o demokracji naśladowczej. Polega to na tym, że w fazie globalizacji wiele państw, które chcą wejść na światowe rynki, wzoruje się na instytucjach krajów wysoko rozwiniętych. Ale niekoniecznie elity modernizacyjne biorą pod uwagę (lub nawet jak biorą, to nie wiedzą, co z tym zrobić), że te instytucje, np. otwartość handlu, liberalizacja przepływów kapitałowych, możliwość kupowania przedsiębiorstw, służą początkowo bardziej krajom wyżej rozwiniętym. Każdy może kupić - poznaj siłę swoich pieniędzy w skali globalnej – problem polega na tym, że niektórzy nimi dysponują, a inni nie. Co mają zrobić ci, którzy ich nie mają, a którzy się otworzyli instytucjonalnie, regulacyjnie i politycznie na wpływy zewnętrzne? Jak to zrobić, żeby na tym skorzystać? Oczywiście są różne scenariusze, zależne też od wielkości ich kraju, jego potencjału itd. i typu przywództwa politycznego. W odniesieniu do Polski stosowany jest termin „instytucjonalizacja nieodpowiedzialności”. To jest bardzo trafny termin Wprowadził go Jerzy Hausner pokazując, że ilekroć się coś wydarzy w Polsce, to nie możemy znaleźć osoby odpowiedzialnej, ani instytucji odpowiedzialnej. Obojętne czy chodzi o katastrofę smoleńską, budowę autostrad, stan służby zdrowia, poziom nauczania w oświacie i szkolnictwie czy digitalizację administracji publicznej.

Dalej, jako państwo znajdujemy się na raczej wczesnym etapie programowania strategicznego. Rozwinęło się ono w Polsce ze względu na wymogi zewnętrzne - w Polsce perspektywa członkostwa w Unii Europejskiej wymusiła myślenie strategiczne. By dostać pieniądze z UE trzeba było przyjąć narodową strategię rozwoju i zacząć myśleć w kategoriach państwa jako całości. Ale to jest dopiero początek. Niska jakość polityk publicznych to poważniejszy problem. Przystawiliśmy się z innego typu instytucji, które w znacznej mierze nie zostały odpowiednio zreformowane. A one mają wdrażać nowe polityki. Jest to bardzo trudne pytanie, czy istnieje w ogóle wola polityczna, żeby to widzieć. Znaczenie tego problemu można pokazać na przykładzie realizacji inwestycji infrastrukturalnych. Rzucam tylko hasła. Pendolino, sensowność kupowania tego typu pociągu, jeśli nie ma koniecznej dla niego infrastruktury. Cyfryzacja kraju, co miał robić Michał Boni - po to utworzono Ministerstwo Cyfryzacji i Administracji. To jest budowa dróg - Polska jest rzadkim przypadkiem kraju, który korzystając z pieniędzy unijnych na infrastrukturę drogową doprowadził do bankructwa wielu przedsiębiorstw budowlanych. To jest niezwykle: np. Hiszpanie w podobnej sytuacji zbudowali duże koncerny budowlane.

W takim kontekście trzeba też wspomnieć o korupcji elit władzy. Wymieniam tylko niektóre rzeczy, jak Infofera. Dziwnie ostatnio mało dyskutowana. Miano zdigitalizować administrację kraju, a dowiadujemy się, że w Komendzie Głównej Policji ludzie za to odpowiedzialni zostali uwikłani w praktyki korupcyjne – rząd szacuje, że to jest strata około 2 mld złotych; do tego regres cywilizacyjny Zdaniem Michała Boniego, straciliśmy 10 lat, w tym m.in. wymieniane jest opóźnienie wprowadzenia nowego dowodu osobistego czy nowych rozwiązań dotyczących policji. Inny przykład – Amber Gold. Taka afery mogłaby się zdarzyć na początku lat 90-tych. Jeśli dzisiaj jest coś takiego możliwe, jeśli mamy nadzór finansowy, który zgłasza zagrożenie nadużyciami do prokuratury, a tam dwukrotnie umarzone jest śledztwo w tej sprawie, to można sobie zadać pytanie, czy w tym szaleństwie nie ma jakiejś metody, że odwołam się do Szekspira. Najnowsza „afery podsłuchowa”.

Oglądamy codziennie ożywione dyskusje. Zwrócę uwagę tylko na aspekt poznawczy. Styl myślenia rządzących. Ile tam jest dyskusji o sferze dóbr publicznych, rozwoju gospodarczym itd., a ile o tym, jak ratować rządzącą partię, jak spowodować, żeby żona nie była kontrolowana przez Urząd Skarbowy i jak się ustawić, żeby zająć lepszą pozycję w strukturach władzy. Tak się robi politykę nie tylko w Polsce, ale jest problem proporcji. I tego, w którą stronę to zmierza ...

Ponieważ moja książka odwołuje się do koncepcji różnych wariantów kapitalizmu, jej teoretycznym rdzeniem jest dyskusja o metodach koordynacji gospodarki, które mają zarówno charakter rynkowy, jak pozarynkowy. W każdym państwie występują różne typy koordynacji. Problem w tym, jak ona wygląda w praktyce. Koordynacja pozarynkowa wiąże się głównie ze sprawnością państwa i instytucji publicznych, w tym z dialogiem społecznym: pracodawców, związków zawodowych, samorządów, NGOs - ich uzgodnienia mogą wpływać na politykę gospodarczą. Z tego punktu widzenia wyglądamy bardzo nieciekawie. W książce omawiam różne statystyki, rankingi itd. Na użytek tego spotkania mogę powiedzieć, że zarówno badania Banku Światowego, jak i Komisji Europejskiej umieszczają Polskę na dalekich miejscach. Jeśli chodzi o jakość działania instytucji publicznych, w Europie lokujemy się na 24 miejscu, co po części potwierdzają wypowiedzi ministra Sienkiewicza na temat państwa, którego „prawie nie ma”. Minister w nowy sposób uwiarygodnia rankingi umieszczające Polskę za Grecją i Litwą, mniej więcej na poziomie Botswany, Kostaryki i Urugwaju. Takie notowania mogą mieć również walory prognostyczne - jeśli państwo jest zarządzane na poziomie poniżej Grecji, to nasuwa się pytanie, jak to rokuje na przyszłość. Takie wskaźniki coś mówią o myśleniu strategicznym, administracji, itd. Wiemy, w jaki sposób przekładają się też na sądownictwo, działanie prawa lub egzekucję zobowiązań.

Z kolei w dyskusji o jakości instytucji gospodarczych, kluczowym dla koordynacji rynkowej często przywoływane są rankingi Banku Światowego z serii *Doing Business*. W tym obszarze czynimy pewne postępy. W 2012 byliśmy na 74 miejscu, potem na 55, teraz jesteśmy na 45. Interesowała mnie ta poprawa, w jaki sposób ją osiągamy. Okazuje się, że w Ministerstwie Gospodarki powołano komórkę, która analizuje rankingi, takie jak *Doing Business* i uznaje, że są pewne obszary w których można osiągnąć szybką poprawę. To jest inteligentne i oby tak dalej. Minister Gospodarki na stronach internetowych deklaruje zamiar uczynienia z Polski najbardziej przyjaznej biznesowi gospodarki w UE. Czy tak będzie, trudno powiedzieć, na razie aż tylu działań nie widzę, ale poprawa w rankingach jest widoczna, m.in. dlatego, że z informatyzowano zasoby dotyczące własności gruntów w części kraju i udostępniono je internetowo.

Kolejny punkt - główni aktorzy zmian systemowych. Kilka uwag o zasadniczej specyfice transformacji pokomunistycznej. Po raz pierwszy w historii świata zaczęto tworzyć kapitalizm bez kapitalizmu i kapitału. To proces bardzo interesujący, zwłaszcza dla socjologa. Jak stworzyć coś w warunkach, kiedy nie ma znanych z historii jego kluczowych aktorów. Nigdzie do tej pory nie było tak, żeby kapitalizm powstawał tam, gdzie nie ma kapitalistów, którzy by mieli pieniądze, wiedzieli jak to się robi i tego chcieli. Różnie definiowani przedsiębiorcy, stan trzeci, klasy średnie itd. „robili rewolucje”, jak we Francji, żeby instytucje zmienić pod kątem swoich interesów. U nas geneza tego procesu była zupełnie inna. To państwo i administracja, z elitami politycznymi na czele, odgórnie, według swojego wyobrażenia o kapitalizmie, dokonywało przekształceń, które miały wyłonić kapitalistów i kapitał. To jest jedna z przyczyn, dlaczego tyle do powiedzenia ma administracja i elity polityczne. Po prostu one od początku wprowadzały zmiany ustrojowe. Niekoniecznie wiedząc, jak to się robi, bo skąd miały wiedzieć, jak wygląda „realny kapitalizm”. To nie jest problem personalny, tylko szerszy: jak po 50 latach innego ustroju zmieniać ustrój na co nie było żadnej recepty. To jest y koszt bycia pionierem. Węgierski

socjolog Ivan Szelenyi sformułował tezę, że zasadniczym wyróżnikiem zmian w Europie Wschodniej jest właśnie budowanie kapitalizmu bez kapitalistów i takie okoliczności mają określone konsekwencje systemowe. Mianowicie, jeśli się bazyje na technokracji, na urzędnikach i administracji, to oni przeprowadzają zmiany „pod siebie”. Tak tworzą prawa, reguły - tak je interpretują i zarządzają, by ich wpływy rosły.

Przywołam niedawno publikowany raport na temat grup interesów w Polsce przygotowany przez zespół profesorów Rybińskiego i Hausnera, który analizował komu służy nasz system stanowienia prawa. Okazało się, że najczęściej ustaw uchwalanych w Sejmie było korzystnych dla interesów klasy politycznej, zarządzającej państwem administracji i niektórych grup zawodowych. Charakteryzowane okoliczności wytworzyły szczególną konfigurację sił politycznych. Na początku transformacji dopiero tworzyły się rynkowe klasy średnie, które powstawały dzięki poparciu państwa wprowadzającego radykalne reformy gospodarcze. Niektóre grupy społeczno – zawodowe i silne branże, zakorzenione w przedsiębiorstwach państwowych miały duże możliwości zorganizowanego wpływu politycznego. Dysponują, jak górnicy lub sektor energetyczny, silnymi związkami zawodowymi i tradycją mobilizacji pracowniczej w dużych zakładach pracy. W latach dziewięćdziesiątych związki zawodowe miały również silne reprezentacje w parlamencie i innych organach władzy publicznej. Rosła w siłę część środowisk inteligenckich i nowi profesjonaliści, którzy korzystając z koniunktury rynkowej oraz komercjalizacji usług umacniali swój uprzywilejowany status. Tendencja ta znalazła potwierdzenie m.in. w nowej konstytucji w zapisach gwarantujących szczególną pozycję zawodów regulowanych. Ukształtowały się koalicje dystrybucyjne dzielące między sobą (poprzez system podatkowy, budżet państwa i prawo), korzyści wzrostu gospodarczego i zmian ustrojowych. Tworzą je w różnych wariantach elity polityczne, wyższe i średnie warstwy struktury społecznej, niektóre branże i w coraz większym stopniu kapitał zagraniczny.

Socjologowie węgierscy na początku lat 90-tych zadali ważne pytanie: jeśli stworzymy kapitalizm, a nie ma kapitalistów, to kto, jakie grupy społeczne, staje się największym beneficjentem nowego ustroju? Słabość rodzimego kapitału wraz z otwarciem granic, liberalizacją gospodarki i prywatyzacją, stworzyła szczególne możliwości działania inwestorom zagranicznym. szybko wchodzącym na nowe rynki i przejmującym kontrolę nad strategicznymi sektorami, takimi jak pośrednictwo finansowe i eksport. Dla charakterystyki tego rodzaju beneficjentów reform profesor Jałowiecki używa określenia „klasa metropolitalna”. To ludzie pracujący w dużych aglomeracjach, obsługujący biznes, zwłaszcza międzynarodowy i jego krajowe otoczenie. Firmy prawnicze, audytorskie, doradztwo ekonomiczne, public relations, marketing itd. Ci, którzy dostają zlecenia od dużych korporacji. Edmund Mokrzycki w opisie relacji pomiędzy wymienionymi grupami używał terminu „demokracja negocjacyjna”. Opisuje on sposób formalnego i nieformalnego podziału władzy oraz korzyści osiąganych poprzez udział w rządzeniu, tworzenie różnych układów środowiskowych, podział stref wpływów itd. Miernikiem efektów takich form demokracji jest udział w dystrybucji PKB, wpływ na politykę państwa i wydatkowanie środków budżetowych, a ostatecznie wielkość i struktura beneficjentów ekonomicznych. Przykładowo polscy przedsiębiorcy zwracają uwagę na kontrowersje pomiędzy Ministrem Finansów, a Ministrem Gospodarki dotyczącą zakończenia działalności specjalnych stref ekonomicznych. Minister Finansów argumentował, że strefy te kosztują budżet państwa rocznie 2 mld złotych, co oznacza, że dajemy ulgi podatkowe głównie inwestorom zagranicznym. Minister Gospodarki uznał, że jeszcze nie czas, żeby strefy te likwidować.

Przypomnę, że specjalne strefy ekonomiczne to typowy, trzecioświatowy sposób pozyskiwania inwestorów zagranicznych. W krajach wysoko rozwiniętych tego się unika ze względu na protesty przedsiębiorców przeciwko nierówności stron. Skoro traktujemy wszystkich tak samo, dlaczego uprzywiluwujemy kapitał zagraniczny? Nawet jeśli uznajemy,

że w pierwszych latach zmian ustrojowych w Polsce było to uzasadnione koniecznością przyspieszenia zmiany reguł gry i modernizacji gospodarki, to powstaje pytanie czy tak powinno być nadal i jakie to ma konsekwencje dla rozwoju kraju. Niedawno podczas seminarium Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego wybitny prawnik, profesor Stanisław Sołtysiński zwracał uwagę na bardzo szczególne uprzywilejowanie inwestorów zagranicznych. Mianowicie, duże firmy transnarodowe podlegają arbitrażowi ponadnarodowemu. W przypadku konfliktu, to nie polskie sądy decydują, lecz instytucje na poziomie ponadnarodowym, na które polski rząd ma niewielki wpływ. A one z definicji są przychylnie inwestorom zagranicznym. Zastanawiałem się kiedyś, szefowie wielkich korporacji twierdzą, że stan sądownictwa w Polsce nie przeszkadza im w działalności gospodarczej. Po prostu funkcjonują w innym obiegu instytucjonalnym. Do kogo innego monitują, że są niezadowoleni. Mali przedsiębiorcy mają polskie sądy, wieloletnie procedury, ale wielkie korporacje nie. Gdybyście byli Państwo zainteresowani, to warto prawników zwracających uwagę na te kwestie zaprosić na któreś z kolejnych spotkań.

Teraz przejdę do roli kapitału zagranicznego w Polsce. W literaturze na temat specyfiki kapitalizmu w europejskich w krajach postkomunistycznych podkreśla się generalnie trzy kwestie. Po pierwsze, słabość instytucji państwa w Europie Środkowej i Wschodniej; po drugie, słabość społeczeństwa obywatelskiego i po trzecie, decydującą rolę kapitału zagranicznego w gospodarce. Wymienione cechy powodują łącznie, że kapitał ten ma kluczowe znaczenie systemowe i strukturalne. W języku socjologii opisuje się rolę inwestorów zagranicznych w kategoriach władzy sieci koordynujących powiązania gospodarcze, jak również wpływu także na inne sfery życia społecznego. W opisie tej sytuacji formułowane są różne koncepcje teoretyczne: *modern depended market economy* czy *foreign led-capitalism*, gospodarka rynkowa w której kapitał zagraniczni pełni kluczową rolę. Inni, jak Bela Greskovits, piszą o kapitalizmie transnarodowym. Zwraca się uwagę, że w tej części świata po raz pierwszy w historii został stworzony nowy rodzaj kapitalizmu. W stosunkowo krótkim czasie, nie przekraczającym 10 lat, ukształtowane zostały systemy gospodarcze w których strategiczne i najbardziej rentowne sektory przejęte zostały przez inwestorów zagranicznych. Proces ten nie ma odpowiednika w historii gospodarczej współczesnego świata. W tej skali nie wystąpił nawet w postkolonialnych państwach dawnego Trzeciego Świata, w których, jak w Ameryce Łacińskiej, zrodziły się niegdyś teorie zależności i koncepcje „kapitalizmu peryferyjnego”.

W Polsce wysoki stopień penetracji rynku krajowego oraz duży udział inwestorów zagranicznych we własności instytucji finansowych i przedsiębiorstw, określany jest nawet przez ludzi, którzy ten model wprowadzali, jak Jan Szomburg, jako następstwo prowadzenia przez państwo „strategii pastwiska dla globalnych korporacji”. Profesor Kieżun, autor książki *Patologia transformacji* mówi mocniej - o neokolonializmie. Podaję przykłady wypowiedzi znanych postaci, bo gdy pisałem książkę, interesowało mnie szczególnie, jak tego rodzaju zmiany strukturalne wpływają na różne segmenty rynku. Na przykład badacze zajmujący rozwojem nowoczesnych technologii podkreślają, że kapitał zagraniczny jest świetny do pewnego poziomu wchodzenia, bo dynamizuje rynek. Natomiast jeśli przekroczy ten poziom, jest tak, że nikt nie jest w stanie odgrywać konkurencyjnej roli w stosunku do tego kapitału. Więcej, nie tworzy się popytu na krajowe innowacje, ponieważ one przychodzą z zewnątrz. Zwłaszcza, jeśli w odróżnieniu od technologii krajowych, technologie z importu można odliczać od podatku. Jeszcze wyraźniej ten problem występuje w sektorze finansowym, który decyduje o alokacji kapitału. Co zrobić, żeby więcej pieniędzy kierowano na inwestycje produkcyjne i innowacje, a nie na kredyty konsumpcyjne, hipoteczne itd., co preferują inwestorzy zagraniczni. Ich rolę przybliży termin *market power*, który zwraca uwagę na siłę działań aktorów biznesowych w gospodarce. Wystarczy przypomnieć, że dominujący udział inwestorów zagranicznych w sektorze bankowym. W pewnym okresie przekroczył on

siedemdziesiąt kilka procent. Od kilku lat udział ten jednak zmniejsza się systematycznie i w tej chwili wynosi około 60%. Wzmacniana jest tendencja do wyrównywania proporcji w strukturze własności tego sektora.

Kwestia eksportu. W większości jest on kontrolowany przez kapitał zagraniczny. Należy o tym pamiętać, bo w dyskusjach o statystyce eksportu z Polski, nazbyt często zapominamy, że większość tego eksportu realizują korporacje transnarodowe. Trzeba zadać pytanie, jak dzielone są korzyści z niego wynikające, finansowe, wizerunkowe itd. Jeśli podróżuję, to w różnych krajach, bardzo trudno mi znaleźć produkty z polską marką. Dane statystyczne pokazują, że eksportujemy, jak nigdy w historii. To dobrze świadczy o potencjale naszej gospodarki i jej możliwościach rozwojowych. Tyle, że robimy to pod innym szyldem i kto inny na tym zarabia. Warto zatem dyskutować również o cenach transakcyjnych, przeznaczeniu dywidendy, wysokości faktycznie płaconych podatków itd., a tym kontekście wzmacniać promocję polskiej marki oraz zagraniczną ekspansję rodzimych przedsiębiorstw. Powyższe kwestie wiążą się integralnie z kwestią pochodzenia kapitału, który finansuje gospodarkę. Nawet najbardziej radykalni liberałowie w latach 90-tych zauważyli, że praktyka działania odbiega od teoretycznych założeń. Okazało się szybko, że np. nie wpuszczamy rosyjskiego kapitału finansowego do Polski. Nadzór finansowy nie dał zgody na żaden bank rosyjski. Dlaczego? Dane wywiadu pokazywały, że kapitał ten jest infiltrowany przez grupy przestępcze, mafię itp. To był jeden przypadek odstępstwa.

Inny przykład. Przy prywatyzacji banków przyjęto politykę dywersyfikacji. Nie sprzedawaliśmy ich jednemu inwestorowi narodowemu, zwłaszcza Niemcom. Obawiano się, że mogli by oni kontrolować nasz rynek finansowy i żeby zdywersyfikować głównych graczy dano preferencje m.in. Włochom i Irlandczykom. To pokazuje, jak neoliberalna doktryna nieinteresowania się pochodzeniem kapitału szybko zetknęła się z rzeczywistością i zaczęto te okoliczności brać pod uwagę. Już w połowie lat 90-tych. Chociaż publicznie o tym na ogół nie mówiono. To jest problem transnarodowej racjonalności biznesu i dystrybucji korzyści. Jednak otwarcie zaczęto w Polsce zajmować się tymi kwestiami otwarcie dopiero w związku z kryzysem 2008+, kiedy nagle się okazało, że Fiat przeniósł część produkcji z Polski do Włoch. W innych krajach w Europie Zachodniej, gdyby coś takiego zrobili inwestorzy, to musieliby oddać ulgi podatkowe - korzyści, które czerpali; a w Polsce nic. O znaczeniu własności kapitału zaczęto także dyskutować w sektorze finansowym pod hasłem repolonizacji lub udomowienia banków. Generalnie długookresowo w finansowaniu inwestycji zasadniczym problemem jest mała zdolność akumulacji kapitału krajowego. Po wyjściu z komunizmu kapitału, w znaczeniu dużych pieniędzy na inwestycje, mieliśmy bardzo niewiele. Powstaje jednak pytanie, czy w trakcie tworzenia nowych instytucji gospodarczych zwracaliśmy na ten problem odpowiednią uwagę? Niektórzy badacze, np. Jadwiga Staniszkis, nazwali dominujące w Polsce przez lata podejście do instytucji finansowych „niekompletnym kapitalizmem”. Przyjęto bowiem założenie, że będziemy finansowani z zewnątrz i nie stworzymy silnych instytucji akumulacji krajowego kapitału, m.in. sprzedajemy banki inwestorom zagranicznym. Zbliżony sposób myślenia dominował także w innych segmentach usług finansowych. Jak opisała Leokadia Oręziak w swojej książce na temat OFE, w okresie reform systemu emerytalnego stworzyliśmy rozwiązania, która umożliwiły przejęcie w 90% nowych funduszy przez inwestorów zagranicznych. Jest fascynujące, dlaczego politycznie i administracyjnie dano zewnętrznym inwestorom za nic ten rynek. Firmy zagraniczne nie wносиły żadnego kapitału (poza umiejętnościami PR i zdolnościami do czerpania wysokich wynagrodzeń). Otrzymały licencje i działały w warunkach niekonkurencyjnych, w których Polacy byli zmuszeni ustawowo do przekazywania pieniędzy na ich konto. Bez żadnego ryzyka dla firm zarządzających tym kapitałem. W ten sposób pod hasłami wolnego rynku politycy stworzyli świetną „maszynkę do zarabiania pieniędzy”.

Ekonomiści, którzy współtworzyli te reformy przyznają, że korzyści, jakie dawał system OFE tworzącym go firmom, mają niewiele precedensów na świecie. Gdzie jeszcze można było w tak krótkim czasie zarobić tak duże pieniądze, z pominięciem interesów lokalnej gospodarki? To jest problem, który pokazuje niewykorzystane szanse. Jeśli nie tworzymy krajowych instytucji finansowych to utrwalamy zależność od finansowania zagranicznego. Ze względu na deficyt kapitału Polska potrzebowała i potrzebuje inwestycji zagranicznych. W dłuższym okresie nie zastąpią one jednak rodzimych kapitałów. W początkowym okresie transformacji bez kapitału zagranicznego nie byłoby możliwe uruchomienie procesów modernizacji polskiej gospodarki. Największy napływ takiego kapitału nastąpił po roku 2004. Same bezpośrednie inwestycje zagraniczne szacowano w tym czasie na ponad 100 mld euro. Wraz z funduszami unijnymi Polska jest odbiorcą kapitałów, których nigdy wcześniej w takiej skali do nas nie napływały. Do tych kwot trzeba także dodać transfery pracownicze emigrantów. W niektórych okresach bardzo duże, chociaż stopniowo już słabnące. Jednak ciągle problem jest ograniczona podaż kredytu wewnętrznego dla sektora prywatnego. Finansowanie polskich przedsiębiorstw przez sektor bankowy jest na poziomie 15%, a w Unii Europejskiej na poziomie 50%. To jest wskaźnik dysfunkcjonalności sektora bankowego w Polsce w porównaniu z krajami starej Unii. Wysokie koszty finansowania, jedne z najwyższych w UE, obniżają możliwości rozwojowe rodzimych przedsiębiorstw. Podobnie, jak małe oszczędności wewnętrzne, to jest problem, bez rozwiązania którego nie dokonamy istotnego skoku gospodarczego.

To jest także słabość rynku kapitałowego, niska kapitalizacja giełdy, deficyt środków inwestycyjnych. Są to problemy trudne do rozwiązania w krótkim czasie, wymagające spójnej polityki, ale wiele wskazuje, że tej polityki zabrakło. Nie widziano w tym szansy rozwojowej lub inaczej - widziano ją, lecz dano komuś innemu do wykorzystania. Teraz to mamy korygować, co nie wiadomo jaki przyniesie efekt. Zwłaszcza przy budzącej kontrowersje jakości zarządzania naszym państwem. Może się bowiem okazać, jak w przypadku OFE, że zabraliśmy część środków inwestorom zagranicznym, ale nie mamy dobrej własnej koncepcji ich wykorzystania. Obym się mylił. Widzę tu jednak pewien typ zagrożeń. Dodatkowo mamy coś niesłychanie ważnego: lekcję kryzysu 2008+. Ewidentna niepewność źródeł finansowania. Kryzys pokazał, że nasz model rozwoju oparty na finansowaniu zewnętrznym stoi pod znakiem zapytania. Kapitał zagraniczny ze względu na kryzys, znacząco ograniczył napływ inwestycji do Polski. Nie jest jasne, czy to się szybko odwróci. Zwłaszcza, że pojawiły się także nowe niekorzystne uwarunkowania w postaci kryzysu ukraińskiego i zmiany sytuacji geopolitycznej w całym regionie Europy Środkowej i Wschodniej. W tym zakresie nikt nie da jednoznacznych odpowiedzi, jak ta sytuacja będzie się przekładała na wzrost gospodarczy i napływ inwestycji. Dalej - ekonomiści ciągle podkreślają, że nie jest jasne, czy Unia Europejska definitywnie wyszła z kryzysu. Dyskutuje się o możliwości różnych, kolejnych perturbacji. Sytuacja jest nadal niepewna, co przekłada się na także na ograniczoną skłonność do inwestowania w ogóle, a inwestycje zagraniczne w szczególności. Wreszcie wiemy, że po 2020 roku skończą się duże strumienie środków unijnych, które w ostatnich latach finansują trzy czwarte inwestycji publicznych w Polsce. Kryzys ujawnił w sektorze finansowym podatność na szoki zewnętrzne i ryzyka systemowe, z czego wypłynęły postulaty zwiększenia udziału kapitału krajowego w tym sektorze i repolonizacji banków komercyjnych. Chociaż rząd oficjalnie nie przyjął tej koncepcji jako oficjalnego elementu swojej polityki gospodarczej - prawdopodobnie, żeby nie tworzyć napięć na rynkach międzynarodowych – to jednak w praktyce jest ona w pewnej mierze realizowana. Systematycznie zwiększamy ten udział w okresie kilku lat to o około 10 lub więcej procent, co jest już odczuwalne.

Za tym idą działania: konsolidacja firm i sektorów, wymuszona przez kryzys i nową sytuację geopolityczną; fuzje, łączenie - na przykład w zbrojeniówce, sektorze



wydobywczym itd. To się wiąże z ekonomicznym bezpieczeństwem państwa. Ale też z innym poziomem rozwoju kraju. Np. jeśli czytam wypowiedzi zarządzających Boeingiem czy innymi wielkimi koncernami zbrojeniowymi, to oni mówią: teraz to zrobimy tak - Polska jest na wyższym etapie rozwoju - że będziecie w większym zakresie w tym partycypowali. Już nie tylko przykręcanie drzwi do samolotu, ale jakieś istotne segmenty. To się nazywa polonizacja produktu. Jak to się posunie, można poddać pod dyskusję, co to może dać, ale byłby to pewien krok do przodu w międzynarodowym podziale pracy. Umocnienie krajowych instytucji finansowych. Bank Gospodarstwa Krajowego. W tej chwili Ministerstwo Finansów przygotowuje – jestem ciekaw, czy to się uda – zmianę legislacyjną, która miałaby nakazywać m.in. uczelniom czy innym podmiotom gospodarczym otrzymującym pieniądze publiczne, żeby one były rozliczane przez BGK krótko mówiąc, żeby nie dawali zarabiać innym. To można było zrobić wiele lat temu. Ale lepiej późno niż wcale. Jest to ruch w dobrą stronę. Też jest ciekawe z punktu widzenia grup interesów. Już policzono, że banki (głównie z udziałem inwestorów zagranicznych) i tracą na tym około 5 mld zł rocznie. To jest tworzenie nowych instytucji typu Inwestycje Polskie – jest kwestą otwartą, na ile one sensownie działają, czy już coś robią efektywnie. Ale to jest właściwy sposób myślenia: skoro będą nam się kończyły pieniądze zewnętrzne, to musimy mieć swoje instytucje, które będą to rekompensowały. Lepiej by były to jednak głównie instytucje sektora prywatnego, co zwiększałoby prawdopodobieństwo ich efektywnego działania. Fundusze poręczeniowe, fundusze technologiczne – oczywiście to są zapowiedzi. Część jest na etapie realizacji.

Następny punkt - nadzór korporacyjny, zarządzanie firmami. Na wczesnym etapie rozwoju to był wielki problem systemowy, bo wyszliśmy z układów instytucjonalnych, które nie sprzyjały racjonalnemu zarządzaniu. Tutaj nie ma żadnej dyskusji, co do punktu wyjścia; gorzej, że nie jest łatwo to zmienić. W związku z tym specjaliści mówią o niejasności modelu zarządzania. Nakładają się różne rozwiązania. Mamy np. sektor publiczny, który odbiega od jakichkolwiek standardów. Niedawno brałem udział w obronie doktoratu, w którym doktorantka zrobiła analizę przekształceń własnościowych - nie dokonanych, ale ciągle dokonujących się - w LOT-ie, gdzie obliczała, ile było zmian w radach nadzorczych, ilu prezesów. Przy tych analizach włos się jeżył na głowie. Zrobiła personalną analizę, kim byli ludzie, którzy mieli zarządzać tym LOT-em, jakie były ich kompetencje. To okazał się klasyczny przykład spółki zarządzanej przez państwo w polskim kontekście. Tak być nie musi, ale tak państwo działa. To tworzy problem. Eksperti wskazują na słabość rad nadzorczych w Polsce, co – pomimo korzystnych zmian – potwierdzają także międzynarodowe rankingi.

Badania profesora Gardawskiego i doktora Czarzastego – charakteryzują autokratyczny i paternalistyczny styl kierowania oraz kultury organizacyjnej w naszych przedsiębiorstwach. To jest rodzimy niewykorzystany potencjał. To jest ciekawe, bo inwestorzy zagraniczni wchodzący do Polski, na ogół też przejmują tę lokalną kulturę w stylu paternalistycznym albo autokratycznym. „Oświeconego” władcy, który nie potrzebuje się liczyć z ludźmi, a następnie się dziwi, że pracownicy uciekają do innych firm. Mamy również problem Nierównomierności przemian jakości zarządzania w różnych segmentach gospodarki. Sektor publiczny budzi ogromne kontrowersje, bo jest upolityczniony. Ciągłe powstają analizy, jak cykl polityczny w kraju wpływa na zmiany personalne w spółkach z udziałem Skarbu Państwa. Po kilku miesiącach od zmiany ekipy rządzącej wymienia się wszystkich prezesów. A czasem szybciej, jak w LOT-ie, co fatalnie wpływa na zarządzanie. Mamy też krajowy sektor prywatny, który w części największych przedsiębiorstw jest porównywalny do zachodniego. Kiedy rozmawiałem z osobami z listy najbogatszych Polaków na ten temat, to dowiedziałem od niektórych z nich, że stać ich na zatrudnienie najlepszych ludzi w firmach, bo płacą pieniądze porównywalne z Zachodem.

Wreszcie sektor małych i średnich przedsiębiorstw. Najbardziej zróżnicowany wewnętrznie, gdzie jest bardzo duży procent ludzi przypadkowych, którzy zostali przedsiębiorcami, co pokazują zarówno badania zespołu profesora Gardawskiego, jak również badania PARP-u. Wielu zostało przedsiębiorcami „z musu”, bo upadły przedsiębiorstwa w których byli zatrudnieni. Nie mają w sobie „iskry bożej” w tym obszarze, co nie tworzy silnych motywacji. Dalej mikro przedsiębiorstwa albo samo zatrudnienie, które jest często w Polsce fikcją statystyczną. wygodną dla wielu firm ze względów na unikanie płacenia składek ZUS. Sektor małych i średnich przedsiębiorstw ma wydajność pracy na poziomie ¼ zachodniej. To pokazuje skalę dystansu. Tutaj ostatnia rzecz. Anachroniczne lub fasadowe rozumienie społecznej odpowiedzialności biznesu; bardziej public relations i marketing. W badaniach, które przeprowadzałem z kolegami z Niemiec i Węgier, została sformułowana teza o wersji minimalistycznej społecznej odpowiedzialności biznesu w Polsce. Jeśli wypłata następuje w terminie, to już jest dobrze. Oczywiście, to nie dotyczy wszystkich, chodzi o pewne tendencje przeważające czy dominujące. Ale ja na to patrzę nie tylko od strony przedsiębiorców, ale i warunków, w jakich oni działają. To trzeba widzieć w pewnej całości. Jeśli ktoś, jak to pokazały sprawy w budownictwie, nie dostaje pieniędzy na czas, jak było uzgodnione, to nie płaci ludziom itd. Dochodzi do tego, że w tej chwili związki zawodowe razem z pracodawcami domagają się, żeby przy zamówieniach publicznych brać pod uwagę, czy pracownicy są zatrudniani na pełnych etatach. Bo państwo w Polsce obniżało koszty realizacji inwestycji generując umowy śmieciowe. Co na dłuższą metę uderza w samo to państwo, bo nie ma wpływów do ZUS-u i innych instytucji. Brakuje jednak – nie tylko w tym zakresie - systemowego podejścia do gospodarki.

Kolejny wyróżnik polskiego kapitalizmu: zbiorowe stosunki pracy. Hybrydowe połączenia w różnych proporcjach i w różnych segmentach rynku etatyizmu, korporatyizmu i pluralizmu. Etatyizm mamy – z punktu widzenia rozwiązań prawnych to rząd decyduje w komisji trójstronnej, nie musi się z liczyć z partnerami społecznymi i często z tego korzysta. Tyle, że niekoniecznie wynika to z jakiejś głębokiej strategii. To raczej kwestia odreagowania na bieżące kwestie, np. protesty w określonej branży. Widać to w różnych silnych sektorach. To nie jest strategia tylko raczej taktyka. Korporatyizm, wynikający z pewnych tradycji, silnych związków zawodowych, do których po jakimś czasie dołączyły organizacje pracodawców. Choć i jedni i drudzy dzisiaj publicznie przyznają, że są bardzo słabi, ten korporatyizm jest bardziej deklarowany niż praktyczny. Ale pewne elementy się pojawiają, typu dialog autonomiczny pomiędzy organizacjami pracodawców i związkami zawodowymi, który jest nowym zjawiskiem i chyba obiecującym. Nie chcę rozwijać tej sprawy, bo było to przedmiotem kilku innych konferencji w których mieliśmy ostatnio okazję uczestniczyć. Wreszcie pluralizm w tym sensie, że każdy sobie rzepekę skrobie. Mamy dużą szarą strefę, gdzie można dyskutować, jakie tam w ogóle są regulacje. Z punktu widzenia stosunków pracy, jeśli mamy bardzo małe firmy, firmy rodzinne itd., to nigdzie na świecie nie może być dobrych uregulowań. Bo jak rodzina prowadzi biznes, to kto tam będzie przestrzegał czasu pracy i dyskutował o prawach pracowniczych. Przeważają inne motywacje.

Jak to działa także w innych segmentach gospodarki pokazują losy Komisji Trójstronnej. Żeby nie wchodzić w głębokie analizy: słaba instytucjonalizacja stosunków pracy, niewielki, malejący udział ponadzakładowych układów zbiorowych. Trzeba powiedzieć, że to jest szersza tendencja, występująca w całej Unii Europejskiej, tyle że w Europie Wschodniej szczególnie dotkliwa, znacznie bardziej silnie niż w innych krajach unijnych. To się przekłada na asymetrię władzy, polegającą na tym, że pracodawcy na tak zorganizowanym rynku pracy mają znacznie silniejszą pozycję. Do jakiego stopnia to jest korzystne dla konkurencyjności polskiego kapitału, można dyskutować. Z punktu widzenia pracowników to w każdym razie jest czynnik wypychający ich gdzie indziej. Oglądam w telewizji

wypowiedzi typu Polka pracująca w Wielkiej Brytanii, po studiach mówi, że tam pracuje w hipermarkecie i ją traktują jak człowieka, czego by nie mogła powiedzieć o Polsce. Przykro się tego, słucha, ale dla mnie to jest jakiś sygnał. Oczywiście, to nie jest efekt żadnych badań, to może być jednostkowe, ale myślę, że to jest szerszy problem, przeniesiony z lat 90-tych.

Erozja w reprezentacji pracowniczej. Małe uzwiązkowienie, marginalizacja, eliminacja samorządów pracowniczych, niewielka partycypacja. Nie wchodząc w szczegóły, według *European Participation Index*, Polska jest oceniana jako kraj o słabej partycypacji pracowników. Jak na to nałożyć uelastycznienie, deregulacje rynku pracy, umowy śmieciowe, to daje w efekcie rozrost prekariatu na poziomie półtora miliona ludzi, tak się szacuje. Jest to wskaźnik zablokowanie aspiracji i szans młodego pokolenia, bo większość umów w tej grupie dotyczy właśnie młodych ludzi. Pytanie zostało zadane, co zostało z idei Solidarności. Aleksander Kwaśniewski kiedyś mówił złośliwie: zostały wąsy Lecha Wałęsy. Nie chcę tego szczegółowo komentować, odnotuje tylko, że rynek pracy zastanawia. Jest na nim przewaga pracodawcy, choć ostatnio dostają informacje, że już zaczynają się znowu pojawiać na rynku pracy segmenty, gdzie takie podejście odchodzi w przeszłość, bo poprawia sytuacja gospodarcza, rośnie znów emigracja, itd. Jakie są widoczne strategie działań na rynku pracy? Jedna, to różne dostosowania typu szara strefa, a inny scenariusz tworzy strategia wyjścia, masowa emigracja. Ten jest szczególnie niebezpieczny, bo chociaż w skali bieżącej obniża bezrobocie i dostarcza znaczących transferów pieniężnych z zagranicy, to w dłuższym tracimy ludzi, którzy mogliby dynamizować rozwój gospodarki i unowocześniać państwo.

Ze względu na ograniczenia czasowe kwestie edukacji i kształcenia zawodowego zostawię na inny moment. Teraz podejmę problem transferu innowacji – i przejdę do konkluzji. Ogólnie rzecz biorąc co myśmy robili, można określić jako rozwój naśladowczy. Początkowo raczej nie mogło być inaczej. Jednak pojawia się w pewnym momencie pytanie, czy to jest perspektywa dla kraju wielkości Polski, który miał jakąś myśl techniczną, aspiracje. Jeśli popatrzeć na wskaźniki innowacyjności Polski to według najnowszych danych Scoreboard - jesteśmy umieszczani za Litwą, a przed Bułgarią, Łotwą i Rumunią. Taka sytuacja nie odzwierciedla polskich możliwości. Charakteryzuje konkurencyjność opartą na niskich kosztach pracy, niewiele przedsiębiorstw inwestujących w badania i rozwój. Przedsiębiorcy zwracają uwagę, że jeśli mają patenty, to rejestrują je w Niemczech. To nie jest tak, że Polacy nie są kreatywni. Ale są mechanizmy określające, że „tam” robi się biznes, tutaj się nie opłaca w ogóle. Na liście 2000 przedsiębiorstw inwestujących w UE powyżej Unijnego kryterium - 22,6 mln euro rocznie, w tej chwili nie ma ani jednej polskiej firmy. Poprzednio kilka było. Są firmy czeskie, są węgierskie, a więc ze znacznie mniejszych krajów; ale nie ma firm polskich. To jest bardzo niepokojące. Stąd pojawiła się dyskusja o zagrożeniu „dryfem rozwojowym”. Napisał najpierw o tym Michał Boni w raporcie Polska 2030, gdy ostrzegał, że nam grozi utrata przewag konkurencyjnych. Jerzy Hausner dodaje, że nie mamy suwerennej orientacji rozwojowej, albo jest ona bardzo słaba; administrujemy, zamiast zarządzać strategicznie, a niska innowacyjność jest wynikiem anachronicznego stylu kierowania państwem. Podobnie, jak niska efektywność nowej polityki przemysłowej. Mówimy o reindustrializacji w Europie. Pytanie, jakie będzie miejsce Polski w tym procesie? Co my proponujemy?

Konkluzje. Po pierwsze, w Polsce nastąpiło odwrócenie tendencji rozwojowej po roku 89. To co ja Państwu zarysowałem, co może wydawać się bardzo krytyczne i takie jest, to wynika z przyjęcia pewnej metodologii. Punktem wyjścia w mojej analizie jest porównanie z krajami wysokorozwiniętymi. W związku z tym trzeba mieć świadomość, że to co się pokazują jako negatywną stronę, to są rezerwy i trzeba zastanowić się, co możemy zrobić, żeby było lepiej. Jeśli popatrzeć na bilans 25 lat, to można powiedzieć, że z perspektywy polskiego dyskursu publicznego może wydawać się zadziwiające, ale w ostatniej dekadzie

Polska była jednym z najszybciej rozwijających się państw świata o zbliżonym poziomie rozwoju. Osiągnęliśmy najwyższy poziom dochodów i jakości życia w ogóle w historii Polski. Problemem jest oczywiście dzielenie tego, to jest inna sprawa. W latach 90-tych do 2013 podwoiliśmy PKB. Po 2008 roku nastąpił wzrost PKB o 20%. W żadnym innym kraju Unii Europejskiej tego nie odnotowano. To są niewątpliwie silne strony. Niedawno spotkałem się z dyplomatami niemieckimi, którzy byli pełni podziwu dla Polski i pytali - jak wy to robicie! Takie wyczuwa się oczekiwanie, że Polska powie Europie, „jak myśmy to zrobili. W takich sytuacjach mam pewien problem, bo rzeczywiście można te wskaźniki pokazywać, ale są one podszyte wieloma wątpliwościami dotyczącymi wyzwań przyszłości. Polska pod względem dynamiki rozwojowej znajduje się na drodze przejścia z peryferii do europejskiego centrum. Ma szansę osiągnięcia 80% poziomu dochodu Europy Zachodniej w roku 2030. Tu jeszcze jest inna kwestia - perspektywy wejścia do strefy euro i różnie na to można patrzeć, ale zostawię to do dyskusji.

Tempo zbliżania się do standardów unijnych zależy jednak od spełnienia wielu warunków. Wśród nich wymieniane jest standardowo zwiększenie oszczędności, podniesienie stopy i efektywności inwestycji, większe nakłady na innowacje, bardziej przyjazne otoczenie gospodarcze, większa aktywizacja zasobów pracy i podniesienie wskaźników zaufania społecznego, zmiana tendencji demograficznych. Łatwo powiedzieć, tylko skoro przez dwadzieścia parę lat tego nie zrobiono, to moja teza jest taka, że to znaczy, że te instytucje, w tym kształcie nie są do tego zdolne. Wymagają one istotnej korekty. Pojawia się zatem kwestia trwałości rozwoju, stąd mówi się o „pułapce średniego dochodu”. Dziś słyszałem, że Komisja Europejska obniżyła prognozy rozwoju dla Polski do 3,1 % wzrostu PKB w tym roku. Widziałem także prognozy OECD i Komisji Europejskiej na okres kilkunastu, kilkudziesięciu lat. I większość z nich nas umieszcza na poziomie 2,5 – 3,5% rocznego wzrostu PKB. To jest wskaźnik owej pułapki. Jak wiadomo, w Polsce, żeby zredukować bezrobocie, potrzebujemy wzrost na poziomie 4%. Czyli to jest pewien sygnał dla tych, którzy nie mają pracy, że gdyby tak pozostało należy zabierać się za granicę. Globalny kryzys. Podział na centra i peryferia strefy euro ujawnił ograniczenia naśladowczego modelu rozwoju Polski. W literaturze zachodniej mówi się, że kraje, które otrzymywały największą pomoc, kraje Europy Południowej, weszły w najcięższy kryzys. A jakie jest miejsce Europy Wschodniej w nowych podziałach unijnych? Jak mówimy o rdzeniu i peryferiach, to warto również zauważyć, że są peryferia na Południu i są peryferia na Wchodzie. I one mają trochę inne problemy. Niedawno napisałem tekst porównujący Polskę i Europę Wschodnią do Europy Południowej. Jakie mamy szanse i jakie są zagrożenia. Co robić, żeby nie powtórzyć ścieżki Południa. Krótko mówiąc, to są ograniczenia dotyczące dotychczasowego modelu rozwoju i trzeba coś w najbliższych latach w tym zakresie zmienić. Nie możemy grać dalej na taniej sile roboczej, ceny pracy będą rosły albo ludzie będą emigrowali. W Niemczech przyjęto za godzinę 8,5 euro jako płacę minimalną. Decyzja polityczna, która się teraz przekłada na konkrety. A u nas związkowcy mówią, że są ogłoszenia o pracy za 1 zł albo za 3 zł. za godzinę. Jak długo nasi pracownicy będą akceptować takie stawki? W ten sposób wypychamy ich na Zachód. Powinniśmy zrobić coś, żeby takie tendencje modyfikować. Trudniej też w tym zakresie liczyć na inwestycje zagraniczne, bo ich jest mniej. Zresztą, jak sygnalizowałem ich napływ i koncentracja w niektórych obszarach także wytwarzają pewne zjawiska negatywne i zagrożenia. Transfer dużych środków unijnych do Polski skończy się w 2020 roku. Rośnie zatem znaczenie mobilizacji na rzecz przełamania ograniczonych zdolności polskiego kapitalizmu do realizacji kluczowych celów rozwoju.

Przywołam koncepcje niedokończonego kapitalizmu lub zależnej gospodarki rynkowej. Jeśli mówimy o konwergencji rozwoju, to powinna ona dotyczyć także struktury własności. O tym się w ogóle zapomina przy dyskusjach o konwergencji. Finansiści i bankowcy w tej chwili mówią, że się przekonali, co oznacza, jak inwestorzy zagraniczni zaczynają zwalniać.

Przywołam jedną figurę, symboliczną w tym zakresie, Jan Krzysztof Bielecki. Otrzymał 10 mln odprawy po odejściu z Pekao S.A. i przestał być bankowcem pracującym dla grupy Unii Credit. Stał się zwolennikiem repolonizacji sektora bankowego. Bardzo dobrze, choć szkoda, że tak późno. Ale piłka jest w grze, lepiej późno niż wcale, można na to spojrzeć od tej strony. Mamy już kadre, mamy ludzi, którzy pracowali w takich instytucjach. Są więc w tym obszarze szanse. Co jest dla Polski niebezpieczne to strukturalne podobieństwo do kapitalizmu śródziemnomorskiego, jakość instytucji państwowych i niska innowacyjność. Musimy wyjść poza poziom Grecji, jeśli mamy być czymś więcej niż gospodarczym ogonem UE i tworzyć zasoby strategiczne, inwestować w ludzi, inwestować w relacje społeczne.

Ostatnia rzecz. Globalny i europejski kryzys można traktować jako test model kapitalizmu. Pewne rozwiązania sprawdziły się, inne nie. Przykład Europy Południowej pokazuje, czego unikać. Nie chcę tego rozwijać dalej, pokazuję artykuł, gdzie szerzej na ten temat piszę. Są nowe wyzwania, które z innej perspektywy ukazują dziś te problemy, jak m.in. zmiany demograficzne i emigracja. Tak naprawdę, jeśli jeszcze wyemigruje gdzieś milion ludzi z Polski, to ta dyskusja może być bezprzedmiotowa. Bo jest pytanie, kto pozostanie. Pamiętam, jak w latach 80 mówiono: a ostatni „gasi światło”. Wtedy wyjechało milion ludzi, teraz wyjechało dwa. W relatywnie krótkim okresie czasu wyjechało w sumie 3 mln. obywateli, głównie młodych i w wieku produkcyjnym. Pytanie, ile może wyjechać jeszcze, bo nie mamy sensownej polityki migracyjnej. Moglibyśmy częściowo pozyskiwać pracowników z Białorusi, czy Ukrainy, ale na razie nie widać klarownych koncepcji działania. Mamy też inne wyzwania, jak polityka energetyczna. Nie chcę tego rozwijać, znacie Państwo te dyskusje. W ogóle redefinicja Unii Europejskiej, czym ona będzie, nowy podział władzy. Unia bankowa czy inne formy integracji, to nie są tylko papierowe zapisy, ale one określają, kto będzie miał władzę i gdzie popłyną pieniądze. Wreszcie transatlantyczne partnerstwo Unia Europejska - Stany Zjednoczone. Niedawno byłem na konferencji na ten temat z udziałem negocjatora rządu brytyjskiego. Jego zdaniem, podpisanie tego układu da 120 mld euro korzyści rocznie. W Unii toczy się gra, kto te pieniądze pozyska i na jakich zasadach. Wygrywają ci, którzy mają dobre instytucje i silne podmioty gospodarcze. Czy my jesteśmy w tej grupie? Wskazane przykładowo zagadnienia wskazują na konieczność podnoszenia sterowności państwa, żebyśmy mieli jakąś koncepcję i mogli ją realizować, czy to jest digitalizacja, czy to są koleje, czy to są drogi, czy to jest system emerytalny. To jest kwestia jakości zarządzania - innej niż to, co słyszymy z udostępnianych przez tygodnik „Wprost” podsłuchów. Mówimy także o standardach prawnych - formalnie odpowiadają one wymogom unijnym. Natomiast praktyka ich stosowania umieszcza nas w zestawieniach gdzie indziej. No i kompatybilność instytucji. Jeśli nie będziemy mieli podobnych instytucji do tych, które są w Niemczech czy w krajach skandynawskich, to nie widzę możliwości, żebyśmy efektywnie mogli konkurować zarówno w UE, jak z innymi państwami i regionami świata. Jak to robić, to jest znowu na inne dyskusje.

Niezbędne jest wzmacnianie obszarów nowoczesnego kapitalizmu, w niektórych sferach liberalnego, tam gdzie jest potrzebna rynkowa regulacja, w dobrym otoczeniu instytucjonalnym. Stanowienie prawa, wymiar sprawiedliwości, policja egzekwująca reguły, sądy itd. To zwykle powoduje, że rynek prężniej działa i ludzie otwierają „kręca” biznesy, a nie lody na boku. Z kolei w wielu innych obszarach potrzebny jest wzrost sprawnej koordynacji, m.in. w sferze państwo - biznes - związki zawodowe, a coraz częściej także z uwzględnieniem organizacji pozarządowych. Nowy obszar, niesłuchanie ważny. W wielu krajach, takich jak Holandia np., organizacje pozarządowe mają duże kompetencje, aktywnie współdziałają z państwem. I proszę zauważyć, jakie tam są wskaźniki bezrobocia. To są przykłady dialogu społecznego i obywatelskiego bez którego nie da się wielu spraw rozwiązać administracyjnie. Wreszcie ograniczenie zakresu czegoś, co ja nazywam

wschodnioeuropejską peryferyjnością. Chodzi o budowanie instytucji źle działających, niesprawnych, które powołuje się, likwiduje, przekształca, bez głębszego przemyślenia. Raz robimy kasy chorych, potem narodowy fundusz. To zmieniamy emerytury w tą stronę, za chwilę to odwołujemy. Ten rodzaj zmian powoduje poczucie destabilizacji, brak zaufania do instytucji publicznych. Rodzi pytanie: jak ludzie mają inwestować swoje pieniądze w warunkach, kiedy wszystko się zmienia w sposób mało klarowny.

Wreszcie kluczowa sprawa. Efektem reform powinno być zmniejszenie dualizmu rozwoju, konsolidowanie krajowego kapitału, podnoszenie konkurencyjności i innowacyjności gospodarki, rozwijanie instytucji dialogu społecznego, które bywają określane mianem „kapitalizmu partycypacyjnego”. Można ten model różnie opisywać, ale chodzi o włączanie w większym zakresie ludzi w procesy gospodarcze, żeby czuli, że są podmiotem, że nie są, traktowani tak jak, przysłowiowy prekariat śmieciowy. Bo jeśli będziemy mieli kolejne miliony takich pracowników, to trudno będzie budować tożsamość firm i konkurencyjność rodzimych przedsiębiorstw. Dziękuję za uwagę. To tyle z mojej strony.